

Rudolf Dzipanow

Opowiadania wietnamskie

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 171-188

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

OPOWIADANIA WIETNAMSKIE

„Muzo, męża wyśpiewaj co święty gród Troi
zburzywszy, długo błądził i w tułaczce
swojej, siła różnych miast widział,
poznał tylu ludów zwyczaję, a co przygód
doświadczył i trudów...”

Homer, *Odyseja*

Kaśka

Zginęła nasza Kaśka. Kaśka i Kuba to para uroczych małpek. Żyją one sobie na naszej Air Base wśród ludzi i ryku silników. Są szalenie miłe, inteligentne i bardzo do nas przywiązane. Wprawdzie mają one swój domek zrobiony z wielkiej, niepotrzebnej skrzyni, ale najczęściej buszują po całym terenie, zupełnie wolne i szczęśliwe.

Wszyscy je bardzo lubimy, a one, pełnie zaufania do nas wchodzą na nasze ramiona, głowy i, obejmując za szyję, mizdżą się do nas i uśmiechają jak prawdziwe małpiszony, w szerokim tego słowa znaczeniu. Szelmy dobrze wiedzą, że zawsze coś dobrego dostaną do zjedzenia.

Kilka dni temu nasz ogrodnik pięknie uporządkował rabaty z cudownymi kwiatami, spotykanymi tylko tu, w tropiku. Tymczasem Kaśka i Kuba uzupełniły te porządki według własnego gustu. Tej samej nocy zginęła nasza urocza Kaśka... Wszyscy są przekonani, że wietnamski ogrodnik, mszcząc się okrutnie, zabił Kaśkę i zjadł ją, bo trzeba wiedzieć, że małpy zaliczane są tu do wyjątkowo smacznych pieczystych.

Siedzi więc teraz w swoim domku smutny Kuba, a i my czujemy brak kogoś bliskiego...

Mijały tygodnie, a Kuba był coraz bardziej smutny, stracił apetyt i nie chciał wychodzić ze swego domku. Musieliśmy więc odesłać go samolotem daleko na północ, do Hue, gdzie znów zamieszkał z inną małpką.

Podobno jest zadowolony, ale czasem wpada w jakąś dziwną zadumę...

Kroczące drzewo

Nie jest ich tu zbyt wiele i chyba należą do osobliwości tego kraju. Są one wielkie i wspaniałe, są – jeśli tak można określić – uosobieniem życia wszystkich drzew świata. Osobliwość ich polega na tym, że nie są, jak wszystkie inne drzewa, wrosnięte w ziemię na stałe, poczynszy od wiotkiej młodej łodyżki, aż po spróchniałą starość i śmierć drewnianych olbrzymów. Odwrotnie, idą one wolniutko, szukając lepszych warunków wegetacji.

Na taki właśnie tryb życia koczujących drzew pozwala im specyficzna budowa. Otóż, wielką i wspaniałą koronę mają podobną do wiekopomnych dębów. Pień również mają potężny, mocny i wysoki na kilkadziesiąt metrów. Nie wrasta on jednak w ziemię, lecz kończy się mniej więcej 5–7 m nad jej powierzchnią. Dalej zaczyna się gęstwina ciężkich korzeni, które rozkładają się potężnym wachlarzem wokół osi pnia i wsysają w ziemię,

szukając życiodajnych pokarmów. W gąszczu tych korzeni stare obumierają, a wciąż rodzą się nowe.

Rosną one, przedzierając się przez gęstwinę innych korzeni, aby wessać się daleko w nowy i jeszcze nie wyeksploatowany grunt. Jest ich coraz więcej i więcej. Szybko wzmacniają się i grubieją, przenosząc tym samym podstawę wielkiego drzewa do nowego, sokołdajnego miejsca. I tak, zmieniając żerowisko – jeśli można użyć tego określenia – drzewo kroczy i porusza się, aby przez swój długi żywot przejść kilkanaście metrów.

Wspaniale i mądrze jest urządzony ten świat. Prawda?

Wigilijny wieczór

Jest wigilijny wieczór... Sączę gin, a moje myśli są w dalekiej drodze do Was – najdrożsi. Gna ona przez bezkres Azji, dzikie pustynie, niebotyczne góry, dżungle i rzeki – wszystko to – co nas okrutnie dziś dzieli, w ten cichy, pełen słodczy wigilijny wieczór.

Siedzę tu samotnie, generał, Polak, daleko, daleko od swoich. Siedzę w wygodnym fotelu w mojej luksusowej willi, o dziwo, do niedawna zajmowanej przez Westmorelanda, generała Stanów Zjednoczonych.

Czy sam ten fakt nie jest już dziwny...? A dziwów jest tu znacznie, znacznie więcej...

Ciągle dziwi mnie to, że w otaczającej egzotyce nie mogę jakoś umieścić tak dobrze znanego mi obrazu i nastroju świąt. Czterdziestokilkustopniowy upał roztapia w tym obrazie czapy białego puchu, którym tam, w Ojczyźnie, noc wigilijna okryła nasze wspaniałe świerki i jodły. A tu palmy i bambusy – zupełnie mi nie pasują do zimowego krajobrazu, który tak usilnie przywołuję dziś w mojej pamięci... A zagadkowa tajemniczość Buddy, który ciągle spogląda na mnie swoim kamiennym wzrokiem, jakże daleka jest ona od twarzy Bogarodziców – pełnych radosnego spokoju i anielskiej dobroci...

Za oknami ryczące głosy lotniczych silników są mi dziś szczególnie obce, inne od rzewnych kołęd, pięknych i pełnych matczynej słodczy.

Te ryki silników są jakimś złowieszczym sygnałem krążącej tu stale śmierci, są całkowitym przeciwieństwem pięknego hejnału narodzin człowieczego życia...

Jak się więc tu nie dziwić, szukając odpowiedzi na proste pytanie: Jakie losy i jakie drogi przywiodły nas tu, na kraniec tego olbrzymiego świata...? Któż na to odpowie w tę noc wigilijną? Może ty, zielona jaszczurko, co siedzisz tak cicho na skraju światła mojej lampy...

Przyjęcia

Bardzo często, może aż nazbyt często, jestem proszony na liczne dinnery, lunche czy też zwykle cocktail-party. Myślę, że wynika to z tego, iż tu, w południowym Wietnamie, nie mamy naszej oficjalnej placówki dyplomatycznej. Będąc przedstawicielami Polski do Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru (International Commission of Control and Supervision – ICCS) w Wietnamie, jesteśmy jedynymi reprezentantami naszego kraju i dlatego też proszą nas ciągle na spotkania i różnorodne przyjęcia.

Prawdę mówiąc, chyba co drugi wieczór mam zajęty. Imprezy te przebiegają trochę inaczej od znanych nam z Europy. Głównie i przede wszystkim jest to podyktowane warunkami geograficznymi i klimatycznymi, chociaż tradycje azjatyckie i nawyki zwyczajowe również w poważnym stopniu naruszają przyjęte w europejskiej dyplomacji

protokoły. Na wszystkim swoje najgłębsze piętno wyciska jednak tropik i egzotyka Dalekiego Wschodu.

Przede wszystkim sprawa ubrań. Zazwyczaj tylko na bardzo uroczystych lunchach czy dinnerach występuje się w lekkich marynarkach i krawatach. We wszystkich innych wypadkach dominują kolorowe koszule i lekkie, jasne spodnie, a tylko czarny pasek u spodni oraz czarne obuwie podkreślają wieczorowy charakter przyjęcia. W mozaice strojów dominują stroje egzotyczne, szalenie barwne i o bardzo zróżnicowanym kroju.

Co do ludzi, to galeria typów. Trochę Europejczyków, gros zaś to Azjaci i mieszkańcy egzotycznych lądów i archipelagów. Wszystkie kolory skóry i przedstawiciele wszystkich ras. Wśród białych dominują oczywiście Amerykanie, hałaśliwi, potężnie zbudowani, ale źle wychowani, a nawet w wielu wypadkach prostacy i chamscy. Ozdobą przyjęć są „bukiety” naprawdę pięknych kobiet. Najpiękniejsze są Tajlandki, Laotanki i Kambodżanki – chociaż i wśród Wietnamek pełno jest wybitnych piękności. Wspólną cechą wszystkich tu kobiet jest ich naturalna, pełna wdzięku kobiecość. Wspaniała gracia w sposobie poruszania się, jedwabistość ruchów i gestów oraz naturalny i wcale nie uwłaczający godności kobiety – szacunek dla mężczyzn. Myślę, że parę z tych cech warto byłoby wszczepić naszym sfrustrowanym pięknościom.

Na wszystkich twarzach uczestników przyjęć uśmiech, ale tylko w nielicznych wypadkach naturalny, serdeczny i szczery. Są to przecież przyjęcia i spotkania dyplomatów, inaczej mówiąc, profesjonalnych i dobrze wyszkolonych fałszerzy, kłamców i obłudników.

Rozmowy pozornie bez troskie, wesołe i mało znaczące, w istocie zaś głęboko finezyjne, podchwytliwe i pełne napięcia. W tym towarzystwie i w tej atmosferze wojskowi delegaci do ICCS błakają się jak zjawy z innej planety. Są jednak wewnętrznie szczęśliwi, że chociaż pełnią służbę ciężką i twardą, to na szczęście pozbawioną fałszu i obłudy. Cieszę się więc z tego, że dzięki Bogu nie jestem dyplomatą, a więc mogę być sobą.

Co się jada i pije?

Różności. Zależy to od organizatora przyjęcia. Oczywiście, najbardziej egzotyczne, a nawet szokujące potrawy są podawane na przyjęciach wydawanych przez Azjatów. Jadłem już piezonego psa, jakieś bliżej nieznanne gady, pieczone ptaki podawane razem z dziobami i szponami, ślimaki, doskonałe kraby, krewetki, ostrygi i langusty. Wspaniałe owoce i jeszcze doskonalsze napoje i soki. Wszystkie potrawy są mocno zaprawiane ostrymi przyprawami, co podobno skutecznie dezynfekuje jamę ustną i żołądek. Alkoholi pije się sporo, ale bardzo lekkich, przede wszystkim gin oraz whisky. Wódek w tradycyjnej, polskiej postaci – mało – i tylko po zachodzie słońca. Dużo natomiast win francuskich, włoskich i hiszpańskich.

Obsługa przyjęć wyjątkowo liczna i bardzo dobrze wyszkolona. Czujna, stale gotowa do usług, uśmiechnięta i miła. Na bardziej uroczystych lunchach czy dinnerach każdy z gości jest obsługiwany przez odrębnego kelnera. Często występują oni w czerwonych, żółtych, białych czy też zielonych smokingach, oczywiście z odpowiednią muszką itp. I nie są to zmanierowani, opasli kelnerzy z naszych restauracji, lecz młodzi, zgrabni i ładni chłopcy.

Przyjęcia odbywają się w wielkich restauracjach, głównie hotelowych lub też we wspaniałych rezydencjach i willach budowanych jeszcze przez mających dobry gust francuskich kolonizatorów. Wille te są zazwyczaj otoczone wspaniałymi parkami, w których znajdują się

baseny, korty tenisowe, pola golfowe itp. W czasie przyjęć wille i rezydencje lśnią w blasku powodzi światła, a tłumy gapiów obserwują podjazd każdej wspaniałej limuzyny.

Wszystko to ma wspaniałą oprawę i jest kolorowe jak wschodnia bajka, ale powtarzane zbyt często – męczy i denerwuje, zwłaszcza, gdy się pomyśli, że zaledwie kilka kilometrów dalej krąży śmierć i w dzikim buszu zbiera okrutne żniwo, a jeszcze bliżej, na przedmieściach Sajgonu, w brudnych i nędznych slumsach giną z głodu setki, tysiące ludzi, najczęściej nieświadomych przyczyn okrutnego losu...

Tygrys

Bardzo sobie cenię Indonezyjczyka, gen. Harsoyo. Wyczuwam w nim dobrego żołnierza. W latach pięćdziesiątych był on z grupą oficerów indonezyjskich w Polsce i w Związku Radzieckim, stąd też zna trochę język polski i rosyjski. Raczej niski, drobny, ciemnowłose, o rysach twarzy i sposobie bycia typowym dla ludzi z tamtego regionu. Moją sympatię w stosunku do gen. Harsoyo kształtuje również i to, że jest on zapalonym myśliwym i doskonałym wędkarzem. Ma on na swoim koncie wspaniałe okazy.

Znając nasze wędkarskie hobby, umówiliśmy się na spinningowanie. Wylecieliśmy w niedzielę 9 grudnia 1973 roku i po dwóch godzinach lotu wylądowaliśmy w Pleiku, a stąd już śmigłowcem poleciliśmy do Kontum, w teren górzysty, pocięty licznymi, górskimi rzekami, w których buszuje rodzaj tubylczego pstrąga. Rzeki mają bardzo silny nurt i płyną w głębokich i malowniczych kanionach. Okolica zupełnie dzika, nie zamieszkała i przepiękna w swojej egzotycznej dziewiczości.

Na nogach miałem grube buty amerykańskie chroniące przed ukąszeniami gadów, dobry sprzęt spinningowy i plecak z żywnością oraz napojami. Podobnie ubrany był gen. Harsoyo i pilot śmigłowca – Amerykanin. Gen. Harsoyo nie tyle na polowanie, ile raczej do obrony zabrał ze sobą śliczny, japoński sztucer.

Miejsce połowu wybraliśmy z powietrza, lecąc śmigłowcem niziutko, niziutko nad strumieniem, wzdłuż wspaniałych ścian krętego kanionu. Trzeba być nie lada mistrzem, aby prowadzić śmigłowca wzdłuż krętego korytarza, przeciskać się przez skaliste bramy i podskakiwać na licznych progach, złożonych kaskadą spadającej wody.

Wylądowaliśmy na uroczym, skalnym stole zawieszonym na zboczu pionowej ściany kanionu, może około 100 m powyżej lustra wody. Jak wszyscy wędkarze na całym świecie, w ogromnym pośpiechu i podnieceniu zmontowaliśmy spinningi, i dalejże do wody. Nigdy w życiu nie łowiłem w takich okolicznościach, dlatego byłem mocno podekscytowany, a w mojej wędkarskiej wyobraźni widziałem już kilkukilogramowe tajemnicze pstrągi.

Tym czasem słońce wyskoczyło już na połowę swojej codziennej drogi i raziło tropikalnym ogniem. Schodząc ostrożnie niżej, ku rzece, byłem zupełnie mokry i czułem, że na dnie kanionu zamarłe w bezruchu powietrze rozgrzane jest piekielnie. Spinning niosłem nisko i równoległe do ziemi, aby nie zaczepiać o liczne i gęste krzewy, osypane tysiącem odurzających w swoim zapachu kwiatów.

Gen. Harsoyo poszedł bardziej w lewo, to jest w górę rzeki, Amerykanin zaś pozostał jeszcze przy śmigłowcu. Byłem już bardzo blisko wspaniałe szumiącej rzeki i pilnie rozglądałem się, gdzie najlepiej jest wykonać pierwszy rzut. Wokół sterczały ku górze dzikie skały kanionu. Postanowiłem skrócić trochę w dół rzeki, gdzie jeden z filarów skalnej ściany

dawał nieco zbawczego cienia. W tym momencie zamarłem w bezruchu. Zareagowałem całkowicie automatycznie, podświadomie i chyba samozachowawczo. Tuż na skraju cienia, nad samą wodą, na jednym z wystających z białej piany głazów skalnych stał tygrys. Widocznie od dawna słyszał moje gramolenie się po stoku kanionu i z ciekawością czekał, aby przekonać się, co to za stworzenie zakłóca spokój jego królestwa.

Stał wspaniały, groźny i zdumiony. Patrzył na mnie, świdrując zniewalającym wzrokiem. Czułem jak pot leje się wzdłuż ciała i spływa do ciężkich butów, które w tym momencie nabrały ciężaru ołowiu. Byłem zupełnie drętwy. W arsenale moich odruchów samozachowawczych brak było przygotowanej i wyształconej reakcji na takie niesamowite spotkanie. Nie wiem czy dobrze, czy też źle, ale zacząłem tyłem, jak rak, cofać się wzdłuż skalnej ścieżki, która przywiodła mnie na brzeg fatalnego strumienia. Tymczasem tygrys stał na swoim głazie i chyba ironicznie, a może i z żalem patrzył na umykający mu 90-kilogramowy kawał mięsa. Parłem do góry, drapiąc się po ścianie kanionu jak najzgrabniejsza tancerka i rutynowany taternik. Łapałem ustami rozpalone powietrze, które kłuło moje płuca jak 100 indyjskich sztyletów. W połowie drogi obejrzałem się i kątem oka zobaczyłem, że skała, na której poprzednio stał tygrys, była pusta. To zdopingowało mój wysiłek i chyba po kilkunasstu sekundach byłem już na skalnym stole, przy śmigłowcu.

Po Harsoyo i Amerykaninie ani śladu. Roztrzęsionymi rękami wydarłem z pokrowca sztucer, załadowałem i zlany potem oparłem się o kadłub śmigłowca. Patrzyłem na krawędź skalną, w oczekiwaniu na tygrysa. Mijały minuty, a lufa sztucera zataczała ogromne koła i ani rusz nie chciała umiejscowić się na punkcie krawędzi skalnego stołu, skąd mógł przyjść mój prześladowca. Jak długo to trwało, nie mogę sobie dziś tego uświadomić. Czułem, że muszę tyknąć trochę płynu, bo zmęczenie zwali mnie z nóg. Trzymając sztucer w pogotowiu, sięgnąłem ręką po puszkę coca-coli i w tym momencie usłyszałem krzyk gen. Harsoyo. Zrozumiałem, że natknął się on na idącego wzdłuż rzeki tygrysa. Podbiegłem do krawędzi skalnego stołu i zobaczyłem wszystko jak na dłoni. Harsoyo drapał się na czworakach wzdłuż skalnej ściany, a za nim, w odległości 20–30 m szedł wolno i majestatycznie tygrys. Podrzuciłem kolbę sztucera do ramienia i nie mogąc opanować oddechu, oddałem trzy szybkie strzały. Górą poleciało echo i jazgot odbitych od skał rykoszetów. Oczywiście, spudłowałem. Tymczasem tygrys, widocznie zdumiony sytuacją, leniwie usunął się w gąszcz trawy i występy głazów i tylko jeszcze przez chwilę widziałem jego wspaniały grzbiet. Rąbnąłem dwa kolejne strzały, oczywiście bez skutku. Tylko echo odbitych pocisków zachichotało mi ironicznie...

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Znalazł się Amerykanin, dobiegł zlany potem gen. Harsoyo i wszyscy wdrapaliśmy się do śmigłowca. Wystartowaliśmy jak z katapulty. Nawet nie wiem kiedy byliśmy w powietrzu. Zmęczony pilot kiwał śmigłowcem okropnie i dopiero po upływie dobrych kilkunastu minut wszedł na właściwy kurs. Lecieliśmy do Pleiku, spijając cały zapas płynów i wycierając nasze spocone czoła.

Rezultatem „tygrysiego” wędkowania padł spinning gen. Harsoyo, mój plecak oraz okulary amerykańskiego pilota. Śmiało się, że tygrys zdobył wszystko to, co potrzebne jest do połowu dobrego pożywienia, jako rekompensatę za stracone, wątpliwej jakości i przepalone mięso niefortunnych wędkarzy.

Nowy Rok Księżycowy – Święto Tet

Wśród krajów Dalekiego Wschodu, które przestrzegają kalendarza księżycowego, Wietnam obchodzi Nowy Rok Księżycowy szczególnie uroczyście. W 1974 roku Święto Tet przypadało 23 stycznia.

Tet jest dla Wietnamu nie tylko powszechnie uznawanym i uroczyście obchodzonym świętem. Rolniczy i rybacki charakter kraju powoduje, że znajomość cykli księżycowych i związanych z tym przyływów i odpływów morza, opadów oraz zmian klimatu ma tu szczególne znaczenie. Stąd też Nowy Rok Księżycowy, stanowiący początek podstawowego cyklu, nie tylko w sensie klimatycznym, lecz również metafizycznym, jest świętem wyjątkowo ważnym. Powszechnie wierzy się tu, że wszystko, co wydarzy się w Nowy Rok ma znaczenie prorocze. Przyjmuje się również, że Tet jest dniem, w którym żywi łączą się ze swymi zmarłymi przodkami. Ich dusze, zgodnie z wierzeniami, przybywają do żyjących w celu wspólnego odbycia rytualnych obrzędów.

Tet uważa się również za porę roku, podczas której można wzywać wszystkie siły do walki z demonami. W tym celu organizuje się specjalne tańce oraz przedstawienia, a także przygotowuje się określone rysunki.

Do Święta Tet Wietnamczycy przygotowują się bardzo starannie. Dwudziestego trzeciego dnia ostatniego miesiąca danego roku księżycowego (w roku księżycowym może być trzynaście miesięcy) obchodzi się ceremonię pożegnania Ong Tao – boga kuchni. W tym celu gospodynie przygotowują specjalny posiłek. W tym też czasie spala się papierową rybę w przekonaniu, że skorzysta z niej Ong Tao, jako ze środka boskiego transportu. Dwa dni po odejściu Ong Tao, a więc 25 stycznia, przypada pożegnanie Buddy. Uważa się bowiem, że i bogowie muszą odejść na zasłużony urlop. Po odejściu tych dwóch istot boskich, dokładnie oczyszcza się w pagodach wszystkie ołtarze, a nowe wiązki kadzideł i nowe świece zajmują miejsce starych. Stawia się również na ołtarzach specjalne potrawy oraz owoce, wśród których arbuz zajmuje honorowe miejsce. Ofiary te są jednocześnie dowodem oczekiwania na powrót boga Ong Tao, Buddy oraz duchów przodków. Powrót boga kuchni ma miejsce wieczorem, później wraca Budda, a następnie przybywają duchy przodków. Z tej okazji znów przygotowuje się specjalne potrawy i odwiedza się pagody. Tam spala się kadzidła i wyraża się różne życzenia, wierząc, że razem z dymem kadzideł trafią one do bogów i będą spełnione. Popioły spalonego kadzidła przynosi się do domu i przechowuje starannie jako gwarancję nieba co do przyszłego powodzenia.

Tet jest również świętem rodzinnym. W tych dniach, jak powszechnie się mniema, nie tylko spotykają się żywi członkowie rodzin, ale również przybywają duchy zmarłych. W tym dniu odnawia się również stosunki towarzyskie, przyjaźnie i znajomości. Daje to okazję do zademonstrowania wspaniałych strojów, uczesania, ozdób itp.

Pierwsze wyjście z domu w dzień Nowego Roku Księżycowego musi być starannie przemyślane, aby wybrać właściwy kierunek, a ponadto należy wyjść z domu o odpowiedniej porze, zgodnie z astrologicznym poradnikiem obowiązującym w danym roku. Niezależnie od tego, czy jest to wizyta towarzyska, czy też rodzinna, pierwszy gość w Święto Tet przynosi szczęście lub niepowodzenie w całym nadchodzącym roku. Jeżeli ktoś nie jest pewien, czy będzie mile widziany w odwiedzanym domu, wówczas najlepiej przełożyć wizytę na inny, korzystniejszy czas.

Stosownie do znanych powszechnie zwyczajów uważa się, że zakazane są w tym dniu wszelkie kłótnie. Za zły prognostyk przyjmuje się zabicie naczyń, kłótnie i oszukaństwa. Unika się również takich prac jak szycie i sprzątanie, bowiem oznacza to ciężką pracę w całym nadchodzącym roku, jak też możliwość wymiecienia w ten sposób z domu dobrych bogów i przybyłych na święto rodzinne duchów.

W Święto Tet wystrzeliwuje się liczne rakiety i zapala sztuczne ognie wierząc, że w ten sposób przegania się wszelkie złe duchy. Pomiędzy strzałami można usłyszeć dźwięki uderzeń w bębny, co oznacza taniec lwa.

W świątecznym dniu w każdym domu musi być bardzo dużo kwiatów, które się kupuje na specjalnym rynku. Ze względu na to, że Święto Tet trwa trzy dni, gospodynie domowe muszą się odpowiednio przygotować i przyrządzić stosowne potrawy. Tradycyjną potrawą jest duszona ryba oraz sałata sporządzona z młodych pędów grochu i buraków. Robi się też duszoną wieprzowinę z sałatką z kapusty. Głównym daniem jest jednak banh tet – kleisty pudding ryżowy zawinięty w zielone liście banana. Przyrządza się też mot – słodkie mięso – w zestawieniu z ananase, kwiatem lotosu oraz imbirem, wiśniami, morelami, suszonymi śliwkami, papają oraz cukrem.

Przez trzy dni Święta Tet ludzie są pogodni, weseli, życzliwi i tolerancyjni.

Migawka z sajgońskiej ulicy

Nastrój sajgońskiej ulicy jest raczej pesymistyczny. Wraz z odejściem żołnierzy amerykańskich pogłębiło się bezrobocie. W pobliżu dawnej amerykańskiej bazy, gdzie obecnie mieszkamy, Tan Son Nhut, zamknięto wiele barów, restauracji, pralni, „salonów masaży” – słowem tych wszystkich zakładów, które prosperowały dzięki wojskom amerykańskim. Zdobycie dziś jakiegokolwiek zajęcia jest więc nie lada sztuką. Co wobec tego ci ludzie robią? Tysiące z nich pozakładało drobne kramiki na ulicach, handlując czym się da, włącznie z częściami ekwipunku i umundurowania amerykańskiego. Setki sajgończyków wystają ze swymi hondami na skrzyżowaniach ulic w charakterze jednośladowych taksówek, inni szukają jakiegokolwiek możliwości zarobienia kilkudziesięciu piastrow, jeszcze inni zaciągają się do armii lub policji, byle tylko wyżywić rodziny, które zazwyczaj są tu bardzo liczne.

Żłodziejstwo, bandytyzm, prostytutcja, stręczycielstwo i żebractwo nasiliły się tak poważnie, że urosły do rangi wielkiego problemu społecznego. Sajgon – niegdyś „Perła Orientu” – dziś jest miastem koszmarnym. Żyje tu ponad 4 mln ludzi. Dzielnice najpotworniejszych slumsów zamieszkują ci, którzy ściągnęli do Sajgonu zwabieni szansą zarobku lub wypędzeni przez trwające walki. Dziś wiodą koszarne życie nędzarzy, grzebiących w śmietnikach, których jest tu mnóstwo. Śmieci rozkładają się w słońcu i napęniają ulice przerażającym fetorem.

Opieka lekarska, nie tylko zresztą nad mieszkańcami slumsów, jest prawie żadna. Według statystyki około 50% liczby zgonów w 1970 roku stanowiły zgony dzieci do lat pięciu. Tak więc po upływie roku od podpisania w Paryżu porozumień pokojowych, ludność kraju, który przyzwyczał się żyć na cudzy koszt, ma przed sobą ponurą perspektywę.

„Migawka” jest oparta na materiale zebrany przez redaktora Leszka Wyrwicza, z którym wymieniałem spostrzeżenia, uwagi i oceny wykorzystane później przez niego w cyklu artykułów publicystycznych w „Życiu Warszawy”.

Rok tygrysa – 1974

Obchodzony przez Wietnamczyków i przez wszystkich wyznawców buddyzmu nowy rok (Giap-Dan) zgodnie z kalendarzem księżycowym jest rokiem Tygrysa. To potężne, wspaniałe, mięsożerne zwierzę wzbudza u Wietnamczyków, szczególnie u górali, bojaźń połączoną z niebywałym szacunkiem, do tego stopnia, że wiele ludzi po prostu nie ośmiela się nazwać tygrysa po imieniu, gdyż uważa go za istotę wyższego rzędu. Dla tych, przesadnie zabobonnych osób, król dżungli jest „Panem Tygrysem”. Więcej, w znacznej liczbie domostw na honorowym miejscu jest ustawiony ołtarzyk, z którego upostaciowiony przez ludowego artystę „Pan Tygrys” czuwa nad bezpieczeństwem i dobrobytem ufnych i pełnych szacunku swoich gospodarzy. Jego dobroduszny wygląd, bardzo daleki od reputacji „ludojada”, wydaje się wskazywać, że woli on legowisko i ciepło domowe, niż ryzyko tropienia zwierzyzny w dżungli i zdobywanie pożywienia.

W Wietnamie Południowym tygrysy żyją obecnie na dużej części obszarów środkowych, szczególnie w łańcuchach górskich Truong Son i na Płaskowyżu Centralnym, tam właśnie, gdzie miałem honor osobiście spotkać króla dżungli. Kilka wspaniałych okazów żyło do niedawna w rejonie Than Son.

Na obszarze środkowym duża liczba tygrysów trapi prowincję Khanh Hoa. Miejscowe tygrysy znane są tu ze swojej drapieżności do tego stopnia, że tubylcza ludność określa je jako najstraszniejsze i stawia je zaraz po upiorach z Binh Thuan. W innej prowincji, Quang Ngai, w pobliżu górskiej przełęczy Dong Ngo i Da Hai grasują groźne tygrysy ludojady. Nie gardzą one również bawołami. Każde ich pojawienie się sieje spustoszenie, a przerażeni tubylcy – górale – twierdzą, że „burzy się dżungla”. Drwale, udając się do dżungli, nigdy nie zapominają zabrać ze sobą mocno zbitej bryłki ryżu. Na skraju dżungli wyjmują ją z liści bananowych, w które ryż jest opakowany, i uważnie obserwują. Jeżeli bryłka jest nie naruszona, zjadają ją spokojnie i zagłębiają się w dżunglę, natomiast jeżeli ryż się rozsypał, oznacza to złą wróżbę i niechybne spotkanie z tygrysem. Wówczas za żadne skarby świata drwale nie wejdą do dżungli, bojąc się spotkania z „Panem Tygrysem”.

W nielicznych osiedlach prowincji Quang Ngai ludzie skrupulatnie wystrzegają się ustawiania jedzenia na stole przy drzwiach lub oknie, aby nie wabić tym tygrysa. Często też unikają słowa „tygrys”, używając ogólników i aluzji. W prowincji tej kilka lat temu tygrysy zabiły 108 osób. Później, na skutek działań wojennych, tygrysy stały się bardziej ostrożne i chronią się w najbardziej dzikich ostępach, nie rezygnując jednak z odważnych wypadów lub mądrze zorganizowanych zasadzek. Opowiadali mi partyzanci, że podczas marszu przez dżunglę stale towarzyszą im tygrysy, krążąc niewidocznie wokół oddziału. Wystarczy, aby ktoś nieostrożnie oddalił się w pojedynkę lub pozostał nieco z tyłu, atak tygrysa jest wówczas nieunikniony. Najgroźniejsze są oczywiście głodne tygrysy. Atakują one wówczas niespodziewanie i z wielką determinacją.

Jeńcy z Loc Minh

Poleciliśmy tam rano trzema ogromnymi śmigłowcami ICCS. Od dawna trwały starania o to, aby obydwie strony południowowietnamskie zgodziły się wymienić swoich więźniów i jeńców. Były to piekielnie trudne zabiegi, przede wszystkim ze względu na to, że wzajemna nienawiść rozpalona obecnie do „białości”, pozbawiła Wietnamczyków poczucia tego, co

w całym cywilizowanym świecie nazywa się humanitaryzmem. Przez lata okrutnych wojen i mordów życie ludzkie stało się tu mniej warte niż garść ryżu. Któż więc ze skłóconych politycznie stron, nadal szczutych w imię interesu innych, zrozumie cierpienia maltretowanych jeńców oraz więźniów i wzruszony ich losem upomni się o ludzką sprawiedliwość? Myślę, że tylko zbieg okoliczności sprawił, że dwie bratnie, lecz tak straszliwie wrogie sobie strony Wietnamu Południowego przypominały sobie o jeńcach i więźniach, jako o dobrej aktualnie karcie w tej śmiertelnej grze.

Widząc to, zrozumieliśmy, że nawet te okoliczności i wynikające z wyrachowania pobudki dają szansę, aby podjąć grę o ratowanie życia więzionych ludzi.

Loc Minh to zagubione w dżungli miasteczko, zniszczone wojną, pełne ran i blizn. Wyładowaliśmy na równinie pełnej czerwonego pyłu, który pobudzony wirem śmigieł utworzył nad lądowiskiem gęstą, czerwoną chmurę. Spowiła ona nas całkowicie. Po chwili nasze ubrania, ręce, włosy i twarze miały kolor cegły.

Powitali nas przedstawiciele Dwustronnej Komisji Wojskowej oraz lokalne władze, na których czele dzielnie kroczyła staruszka o dobrych, pocziwych oczach i miłym uśmiechu. Cały obszar, na którym odbywać się miało przekazanie przez strony sajgońskich więźniów, był podzielony na trzy sektory. Pierwszy obejmował lądowisko i był niejako sektorem kontrolowanym przez RW, drugi – neutralny, gdzie miały dokonywać się formalności wymiany, i wreszcie trzeci – kontrolowany przez stronę przejmującą więźniów: TRR – był przeznaczony do spotkania więźniów z miejscową ludnością, a być może i z rodzinami.

Po tym 3-sektorowym obszarze swobodnie krążyli przedstawiciele wojskowi ICCS, mający nadzorować prawidłowy przebieg wymiany. My, generałowie, reprezentujący każdy swoją delegację – członka ICCS – poruszaliśmy się po całym terenie swobodnie i według własnej woli.

Około godz. 11.00 nadleciał pierwszy rzut śmigłowców z więźniami. Wysiadających więźniów natychmiast otoczył kordon żandarmów i żołnierzy RW z bronią gotową do strzału. Scena ta przeniosła mnie do czasów, gdy nad zbitą gromadą pojmanych w łapance Polaków tłoczyli się hitlerowscy żandarmi, stale gotowi do śmiercionośnej salwy. Podobnie działo się i tu. Więźniom kazano siadać w rozgrzanym, czerwonym pyłe i czekać na spełnienie formalności pozwalających przejść do kolejnego sektora.

Obserwowałem tych więźniów. Wśród nich były kobiety, ludzie młodzi oraz starcy. Wyćienzeni do absolutnej skrajności, cienie ludzkie, o zgnitym kolorze cery i wychudzonym ciele, ubrani w strzępy odzieży. Strach, okrutny strach bitych zwierząt czaił się w ich głęboko zapadniętych oczach i tylko my, Polacy umieliśmy dostrzec, gdzieś tam w głębi tych oczu nikły płomyk radosnej wolności. Właśnie tylko my, Polacy, bowiem tylko my z obecnych tam nacji umieliśmy odróżnić i dostrzec ten tłący się płomyk nadziei, płomyk wolności, za którą tak niedawno zapłaciliśmy okrutną cenę – cenę 6 mln istnień ludzkich.

W piekielnym słońcu i czerwonym pyłe trwały formalności, które dla każdego z tych ślaniających się ludzi były nowo narodzeniem i powrotem do swoich, do powietrza, słońca i egzotycznej przyrody, tak znamiennej dla otoczenia odbywającej się wymiany. Aż dziw brał, że wśród cudownych drzew, kwiatów i błękitnego, pełnego złotego słońca nieba, w samo południe mogła obnażać się okrutna krzywda ludzka i los, który przecież zgotowali ludzie ludziom, bracia braciom, synowie jednej wietnamskiej ziemi.

Wracając z Loc Minh byłem głęboko wstrząśnięty, a jednocześnie odczuwałem satysfakcję z tego (jako członek ICCS), że wreszcie mogliśmy praktycznie spełnić czyn, który jest uznawany wśród cywilizowanego świata i dla którego przede wszystkim powołano nową organizację.

Jaka wielka szkoda, że nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Myślę, że właśnie dlatego każdego dnia giną w okropnych więzieniach i obozach dziesiątki ludzi, których większość nawet nie domyślała się, że byli narzędziem w rękach tych, którzy kochają polityczny biznes ponad życie innych.

Montagardzi

Pewnego ranka ruszyliśmy z Kontumu do odległej o 10 mil egzotycznej wioski góralskiej, dla której czas zatrzymał się w połowie XVII wieku. Nawet podczas okrutnych wojen biały przybysz zaglądał tu rzadko. Jechaliśmy rozklekotanym scoutem prowadzonym przez Wietnamczyka. Drugiego takiego kierowcy pewno już w życiu nie spotkam. Ki, bo tak miał na imię, jeździł już od kilku lat, ale kilometra jeszcze nie przejechał po utwardzonej nawierzchni, nie mówiąc już o asfalcie. Jego żywiołem był górski trakt, zwany szumnie drogą. Zaczęliśmy więc „tatrański” rajd na skraju Płaskowyżu Centralnego. Najpierw należało wjechać około 1500 stóp pod górę, potem zjechać w dolinę i znowu podjechać „marnie” 3000 stóp. Teraz piszę o tym łatwo, ale wówczas jaka była jazda – niech Bóg broni.

Górska „autostrada” była po prostu wyciętą w stoku ścieżyną, mniej więcej na szerokość scouta. Stale jechaliśmy tuż nad przepaścią. Początkowo robiło to niejaki wrażenie, po godzinie przyzwyczailiśmy się jednak, a nawet wygodnie było patrzeć, bo nic nie zasłaniało widoku. Tak to już chyba jest, jeśli nie można czegoś zmienić, najlepiej szybko to polubić.

Nasz samochód z napędem na cztery koła chybotał się niepokojąco już od pierwszego metra i gdybyśmy się nie trzymali mocno, wyładowalibyśmy w przepaści najdalej na drugim kilometrze. Jazda żywo przypominała rozkosze podróży nowicjusza na słoniu. Ki był jednak wirtuozem kierownicy. Na małych odcinkach względnie „dobrej drogi” szalał, rozwijając szybkość ponad 15 km/godz., na gorszych zaś dusił z silnika wszystkie moce. Najzabawniejsza była jego technika brania niektórych zakrętów. Były one tak ciasne, że za jednym zamachem nie dały się pokonać. Ki więc cofał wóz raz, dwa lub więcej, trzymając tylne koła o włos od przepaści, aby zmieścić się wreszcie na wąskiej drodze.

Były po drodze także i mosty. W takich miejscach z góry waliła zwykle siklawa, a kilka luźno ułożonych bali udawało dzieło sztuki inżynierskiej. Kiedy jechaliśmy po tych balach, klekotały one niczym klawisze w starym fortepianie.

Otoczająca nas dżungla była wspaniała. Ogromne drzewa oraz całe masy lian, skłębio-nej zieleni, w której tylko botanik mógłby się rozeznać, budziły wspomnienia z dziecięcej lektury... Wszystko to rozłożone było w niepowtarzalnej panoramie, przetykane kwiatami, dyszące wilgocią i obłędnie cętkowane barwnymi kwiatami. Specyficzny zapach zgnilizny wymieszany był z wonią wspaniałych kwiatów. Majestat gór i milczenie dżungli były tak przejmujące, że ryk silnika naszego wozu wydawał się świętokradztwem.

Porywająca panorama gór stanowiła niezwykle tło dla rozsianych po zboczu palmowych strzech. Dojeżdżaliśmy do wioski. Pierwszy miejscowy juhas, który nam się objawił, przyprowadził mnie o mały szok. Był ubrany nader skromnie. Nie licząc muszli zawieszanej na szyi, miał na sobie przepaskę z roślinnym woreczkiem zakrywającym genitalia. Wkrótce

zatrzymaliśmy się na placyku wioski. Naszym oczom ukazał się widok jak ze słynnego filmu „Mondo cane”. Na skraju gliniastego placyku migały stalowe i bambusowe noże ubroczone krwią. Brązowe ręce ćwiartowały świńskie tusze. Obok tliło się wielkie ognisko i dymiły rozgrzane kamienie. Kobiety o urodzie starych wiedźm uwijały się wokół, raz po raz znikając w kłębach dymu zmieszanego z mgłą. Układały na kamieniach kawałki rąbki owinięte w liście bananowca. Wychudzone psy pospołu z umorusanymi dziećmi o wydętych brzuchach rozwłoczyły resztki wnętrzości. To pokarm składający się głównie z zieleniny i owoców powodował owe wzdęcia brzuchów u małych nagusów. Dwie czy trzy młodsze kobiety nie brały udziału w ćwiartowaniu świni, stały z boku potwornie zniekształcone zaawansowaną ciążą. Perkalowe przepaski – jedyny ich strój – niknęły gdzieś nisko, niczego nie osłaniając. Wielu mężczyzn odzianych było w resztki spodni i koszul. W wiosce szykowano niewątpliwie jakieś święto Montagardów.

Zaprowadzono nas do wodza – sołtysa wioski. Wstaje on, pilnie przyglądając się nam, a następnie mięknie, traci godną minę i wylewnie ściska nam ręce. Wokół nas gęstnieje tłum mieszkańców. Puszczam w ruch specjalnie przywiezione papierosy. Niektóre z nich wędrują w otwory prześwitujące w małżowinach usznych. Na później. To dobrze. I tak mam wyrzuty sumienia w imieniu wszystkich Europejczyków, którzy przyzwyczaili do tytoniu zbyt wiele prymitywnych ludów. Cywilizację białego człowieka zawsze poprzedza wódka, tytoń i paskudne choroby.

Zaglądamy do kilku chat, mają klepisko zamiast podłogi i żadnych prawie sprzętów. Chaty nie mają nawet dziur w dachu. Tłące się gdzieniegdzie pośrodku ogniska zapełniają wnętrza dymem. Potwornie duszno, ale ciepło. Pewnie o to właśnie chodzi, bo w górach klimat jest surowy.

Nie spróbowaliśmy pieczonych na kamieniach świń. Spieszyło się nam, a przyjęcie w wiosce miało rozpocząć się wieczorem.

I znowu trzęsiemy się na szlaku, opuszczając zagubioną wśród gór wioskę Montagardów, dla których czas zatrzymał się w połowie XVII wieku. Któż to wie, czy oni nam, czy też my im mamy zazdrościć.

Połowy

Podczas wymiany jeńców zabrnęliśmy przypadkowo prawie na skraj cypla Wietnamu, do typowej osady rybackiej Rach Gia. Olśniony kolorowym targu, zapragnąłem odwiedzić kilka zagród rybackich. Zaprowadzono nas do ogromnej szopy zbudowanej tuż na skraju plaży, ale poza zasięgiem fal i przyplływów morza. W jej wnętrzu zobaczyliśmy wielkie kosze. Były imponujące. Wysokość niektórych znacznie przekraczała 2 m. Uplecione misternie, niczym wydłużone belki, zawierały wewnątrz coś na kształt ażurowego, zwężonego w środku słupa.

Wielki doświadczeń rybackich musiały złożyć się na sposób wyplatania tej przemysłowej pułapki. Było oczywiste, że ryba, która raz weszła w czeluść tego małego arcydzieła sztuki wikliniarskiej, nie miała najmniejszych szans oswobodzenia i musiała trafić na targ lub ognisko w rybackiej chacie.

Nie kosze były jednak najbardziej zadziwiające w tej osadzie. Znacznie ciekawsza była operacja, jaką przeprowadzili rybacy przed zademonstrowaniem nam niecodziennych

narzędzi. Otóż, rybacy, zanim otworzyli prymitywne wrota szopy, usunęli na drugi krańiec osady wszystkie kobiety, dziewczęta i chłopców. W czasie kiedy wywlekli z szopy jeden z koszy na zewnątrz, inni rybacy pilnie uważali, aby nie zjawiała się w pobliżu kobieta. Zdziwiła mnie ta czynność, toteż zapytałem o jej cel. W odpowiedzi usłyszałem, że jeżeli kobieta spojrzy na kosz, wówczas diabli biorą połów. Odpowiedź wyjaśniła wiele, ale nie wszystko. Dopiero nieco później poznałem więcej szczegółów.

Uświęcony tradycją obyczaj mówi, że kobiety, dziewczęta i chłopcy – zanim ci ostatni staną się mężczyznami – nie mogą nawet spojrzeć na kosz, a tym bardziej dotknąć go, i to zarówno w czasie pracy nad nim, jak też i po zakończeniu dzieła. Rybacy wierzą bowiem mocno, że jeżeli kobieta dotknie kosza, nawet wzrokiem, rekin zniszczy go i głód zajrzy do rybackich chat. Rygory te są posunięte bardzo daleko. I tak rybak, który zużywa na wyplecenie kosza więcej niż jedną odmianę księżycy, nie może sypiać w domu skalanym obecnością kobiety, nie mówiąc już o współżyciu z własną żoną. Te poświęcenia nie idą na marne, kosz bowiem na tamtejsze stosunki kosztuje bardzo drogo. W jego wartość wlicza się trwające prawie pół roku suszenie i cykl magicznych zabiegów gwarantujących powodzenie w połowach.

Rybackie kosze nie dawały nam spokoju. Zmuszeni do nocowania w tym rejonie, jeszcze tego samego dnia zaprosiliśmy się na połów. Nie była to sprawa tak prosta, jak mogłoby się здаwać. Jedynym środkiem transportu było oczywiście małe czółno z przeciwwagą, obliczone najwyżej na dwóch ludzi. Mój wioślarz nie miał trudności z wejściem do łodzi, natomiast ja gramoliłem się niezgrabnie w wydłubane koryto. Popłynęliśmy w towarzystwie całej flotyli, w miejsce wiadome tylko rybakom.

Na powierzchni wody widać było długą bambusową tratwę. Jak się okazało, tratwa spełniała rolę boi, do której przyczepiony był kosz. Zwisał on w toni w pozycji pionowej na głębokości około 3 m. Od spodu był obciążony kamieniami w worku z palmowego лыka. Przez warstwę kryształowej wody widać było, że kosz jest kompletnie pusty.

Popłynęliśmy dalej. Następna pułapka już z daleka mieniła się tęczowo. Z niemałym trudem rybacy wyciągnęli ją na kilka ustawionych obok siebie czółen. Kiedy kosz-pułapka legł wreszcie na łodziach, jeden z rybaków pogrążył się w nim do połowy i zaczął wyciągać pojedyncze skarby, które ofiarowało rybakom morze.

Przyglądałem się z zainteresowaniem okazom, które zadziwiłyby naszych wędkarzy i niewątpliwie każdego ichtiologa wprawiłyby w podniecenie. Niemal każda ryba była inna: ryby – słońca, najeżdżki, ryby płaskie, rogate, pękate itp. Wszystkie ryby były przebogato ubarwione, i to wcale nie na stałe. Wyjęte z wody złociste ryby potrafiły przybrać barwę zieloną, potem błękitną, aby ostatecznie zostać przy pomarańczowej. Taki kolorowy fotoplastikon tropikalnych mórz.

Z samego dna kosza rybak wygarnął może metrowej wielkości rekina. Jeżeli wierzyć rybackim przesądom, jego obecność spowodowana była zapewne ukradkowym zerknięciem na kosz którejś z ciekawskich dziewcząt.

Obladowane zdobyczą łódki wracały do brzegu. Szybko zapadła tropikalna noc. Woda zaczęła fosforyzować, każdy ruch wiosła wywoływał zielonkawę, wodne błyski. W głębi akсамитно- czarnej już wody jawiły się od czasu do czasu świetliste cienie, czasem przedziwnych kształtów. Cicho pluskała woda, jakby akompaniując rzucającym się w czółnie rybom. W oddali, na brzegu zwiastującym osiedle, zapalały się pochodnie. Nie były to jednak

światła przeznaczone dla powracających z połowu. To po prostu żony rybaków korzystające z odpływu, szukały na plaży, którą morze chwilowo odkryło, ukrytych w zagłębieniach piasku krabów i mniejszych ryb.

Moja myśl uniosła mnie do niezapomnianych powrotów z wędkarskich wypraw, wprawdzie nie z egzotycznych mórz, lecz z nie mniej wspaniałych i pięknych mazurskich jezior...

Żony na sprzedaż

To, że w Wietnamie mężowie oferują swoje żony, jest faktem powszechnie wiadomym. Są to jednak przypadki pojedyncze. Natomiast z targiem na mężatki jako zjawiskiem masowym spotkałem się płynąc wzdłuż jednej z tysięcy odnóg delty Mekongu.

Płynęliśmy motorówką ICCS wśród wielkich rozlewisk pokrytych na przestrzeni kilometrów wspaniałymi liśćmi lilii wodnych. Zielone misy o podgiętych w górę brzegach z łatwością utrzymywały po kilka rojących się nad wodą ptaków. Są to strony, gdzie ludność cierpi wyjątkową nędzę i głód.

Brak sytości ukształtował też zapewne obyczajność wsi Cu Ling, do której dotarliśmy około południa. Tworzy ona coś w rodzaju prymitywnej Wenecji, ze swymi bambusowymi domami tkwiącymi na palach. Osiedle to – nie ma co owijać w bawełnę – jest lupanarem wielkiej rzeki Mekong. W Cu Ling bowiem od wieków rybacy i żeglarze kupują względy zameżnych kobiet.

Podłoże tego procederu jest proste. Teren wokół wsi nie nadaje się pod uprawę, mało jest palm sogo, mało kokosów. Dominują bagna. Nie wystarcza więc żywności dla wioski liczącej ponad tysiąc głów, a zatem... mężczyźni oferują wędrowcom swoje żony, aby żyć.

Nie do pomyslenia jest przy tym, aby mężatka sprzedawała się sama. Wszystkie transakcje odbywają się za pośrednictwem męża. Istotne jest również to, że dziewczyna z Cu Ling przed zamążpójściem musi być absolutnie cnotliwa.

Płynęliśmy wolno główną ulicą. Ze zrozumiałą ciekawością przyglądałem się tej wiosce. Z łodzi widać było normalnie pracujących rybaków oraz kobiety zajęte połowem krabów. Po powrocie do bazy zapytałem wietnamskiego komendanta o przyczynę tolerowania tego procederu w Cu Ling. W odpowiedzi wzruszył ramionami i odrzekł: „Nie można zaniechać jedynej działalności, która przynosi nam pieniądze”.

Milczący Mnich

Majestatycznie płyną wody wielkiej rzeki Mekong. Tajemnicza, a jednocześnie piękna rzeka była świadkiem ogromnych, często okrutnych wydarzeń, o których krążą legendy i opowiadania przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Na jednym z licznych ramion Mekongu leży wyspa Nam Quoc Phat. Mnóstwo spotkań tu można wysp, od całkowicie dzikich do zabudowanych i zamieszkałych przez licznych tubylców żyjących głównie z połowu ryb, uprawy ryżu i owoców. Wyspa Nam Quoc Phat jest jednak szczególną wyspą i wśród miejscowej ludności zajmuje również szczególne miejsce.

Pewnego kwietniowego dnia ruszyliśmy łodzią z My Tho, aby zwiedzić tajemniczą wyspę i jeśli szczęście dopisze, poznać Milczącego Mnicha – pana i władcę Nam Quoc Phat. Wkrótce dobiliśmy do oryginalnego mola, którego podstawę stanowi przeżarty rdzą kadłub wojennego okrętu. Już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że wyspa podzielona jest

na dwie części – mieszkalną i świątynną, nad którą dominuje piękna pagoda. To ona jest przedmiotem tajemniczych legend i celem częstych pielgrzymek.

Świątynię okala szereg wspaniałych kapliczek o cudownej ornamentacji, pełnej barw, cieniów i kontrastów. W centralnej części świątyni – *clou* pagody – jak gdyby wielka sala konferencyjna, po której środku dominuje stół w kształcie mapy Wietnamu. Wokół stołu liczne i puste fotele, surowe w swoim kształcie wydają się czekać na tajemniczych rajców... Wszystko tu tchnie atmosferą oczekiwania...

Również i ja uległem temu nastrojowi i nawet zwróciłem wzrok ku wielkim drzwiom, czekając na pojawienie się ludzi mających zasiąść przy tajemniczym stole i radzić w sprawie, którą sugestywnie określał kształt tego stołu.

Salę tę, jak zresztą całą pagodę, zbudował Milczący Mnich, określając jej szczególne przeznaczenie i historyczną rolę. Otóż, czeka ona na wielki dzień, w którym najmądrzejsi zasiądą przy stole, aby zdecydować o pokoju i zjednoczeniu Wietnamu. Wszyscy w to wierzą, mocno wierzą, że dzień ten nadejść musi. Ta głęboka wiara i ujęte w modlitwy oczekiwania na wielki dzień bez mordów, rozlewu krwi i okrutnej nędzy jest podstawową treścią religii, którą stworzył Milczący Mnich. Kto zna cierpienia Wietnamczyków, kto widział przerażające żniwo śmierci, nędzę i skutki głodu, ten zrozumie jak przeogromna jest chęć pokoju, sytości i bezpieczeństwa, ten zrozumie jak przyciągające są zasady religii stworzonej przez Milczącego Mnicha.

Kim więc jest patriarcha z tajemniczej wyspy? Niestety, nie miałem szczęścia go poznać, a nawet zobaczyć z daleka. Kryje się on w cieniu licznych i tajemnych komnat świątyni i tylko w określonym czasie odwiedzić go mogą wybrani kapłani pagody. Nosi on zakonne imię Thi Hoa Binh – Nguyen Thanh Nam, co w dowolnym tłumaczeniu na język polski oznacza Czciiciel Pokoju. Władca wyspy liczy sobie 82 lata i jest absolwentem kilku fakultetów uniwersytetu w Paryżu. Zerwał jednak ze światem zewnętrznym, osiedlił się na wyspie, stworzył religię, zbudował pagodę i zyskał bardzo liczny zastęp kapłanów i wiernych. Od 10 lat, to jest od 1964 roku pozostaje w całkowitym milczeniu i przemówić ma w tym właśnie wielkim dniu pojednania i pokoju. Symbolem jego władzy jest znak buddyjski – swastyka o odwróconych ramionach, krzyż katolicki i oko opatrności, a więc symbioza symboli głównych religii Wschodu. W służbie religii stworzonej przez Milczącego Mnicha pozostaje liczny zastęp mnichów. Pędzą oni wybitnie ascetyczny tryb życia, pełen prostoty i niezrozumiałych dla Europejczyka wyrzeczeń. Wszyscy są wegetarianami.

Pełen zadumy opuszczałem salę posiedzeń. W środku zalanego słońcem podwórza pomarszczony starością i spalony żarem tropiku mnich, w regularnych odstępach czasu, uderzał drewnianym kijem w wyszczerbiony i ośniedziałą dzwon. Echa tych uderzeń odmierzały rytm życia całej wyspy. Toczyło się ono ospale, wolno i chyba bez przesady uznać je można za absolutnie przeciwny biegun naszej cywilizowanej gonitwy i zwariowanego tempa.

Przeszedłem do drugiej części wyspy, gdzie mieszkali najwierniejsi z wiernych, tkwiąc w oczekiwaniu na Wielki Dzień. Obserwując ich skrajną nędzę, zrozumiałem jak pełne napięcia jest ich oczekiwanie na ów dzień i jak głęboka jest ich wiara w to, że musi on być początkiem lepszego.

Wracając motorówką, wpatrywałem się w ofiarowany mi znak swastyki, który skojarzyłem z inną tragedią i męką innego narodu... Wolno, wolniutko opuściłem złamany krzyż w żółte fale wielkiego Mekongu, rzeki która pamięta wiele, wiele wydarzeń...

Wielkanocna niedziela

Znowu święta, samotna Wielkanoc. I znów moja myśl pędzi przez daleki świat tam, do Was, do naszego rodzinnego domu, do Ojczyzny jedynej...

Jest godz. 17.00, a więc w Warszawie dochodzi godz.10.00. Czuję, telepatycznie czuję, że siadacie, Moi drodzy, do jak zwykle pięknie nakrytego świątecznego stołu. Jedno nakrycie jest dodatkowe, to dla mnie, jest puste, smutnie puste...Wasze oczy kierują się na biały obrus, tam gdzie chcielibyście widzieć moje ręce, moją twarz... Jestem, jestem wśród Was najdrożsi, widzę Was i tak bardzo, bardzo chcę Wam powiedzieć, że bardzo Was Kocham i bardzo tęsknię...

Żabi koncert

Wizytując samotne posterunków ICCS, zapędziliśmy się w dzikie połączenie dżungli. Dziko tu i ponuro. Postanowiliśmy nocować w Cu-Chi. Gospodarz, polski dowódca grupy, po kolacji wspominał coś o żabich koncertach, które utrudniają podobno sen. Któżby się martwił sielskim rechotaniem żab. Bardziej liczyłem się z ogniem artylerii, która tu od czasu do czasu urządzała koncerty lepsze od żabięgo kumkania. Wkrótce udaliśmy się do dusznych pokoików, gdzie zamiast szyb widniały solidne moskitiery. Nie przeszkadzało to oczywiście co bardziej przedsiębiorczym komarom w nawiązywaniu bliższego kontaktu z nami, co z kolei zmusiło nas do szukania schronienia pod muslinem okrywającym łóżka. Nagi, ciężko dysząc, zastanawiałem się jak zmusić się do snu, kiedy przerażający odgłos kazał mi zerwać się na równe nogi. Tygrys? Co u licha? Były to... żabki, o których wspominał gospodarz. Bestie musiały mieć gardziele o rezonansie dwóch fortepianów Bechsteina. Słyszałem jednocześnie coś pośredniego między rykiem morsa, chrząkaniem rozdrażnionego dzika i gulgotaniem indyka. Co gorsza, te „rozkoszne” dźwięki dochodziły wyraźnie też spod mojego domu. Sytuacja stawała się złożona. O przykryciu głowy poduszką nie mogło być mowy, bo groziło to uduszeniem. Można było jedynie leżeć na wznak, otrząsając z siebie spływający pot i modlić się o zapalenie gardła dla „artystów”. Koncert co pewien czas cichł, a kiedy już miałem nadzieję, że się nie powtórzy, kakofonia dźwięków wybuchała z nową siłą.

Przez długie godziny obserwowałem na suficie harce sympatycznych jaszczurek geko polujących na wdzierające się do pokoju komary, aż wreszcie zapadłem w rodzaj drzemki nieudolnie imitującej sen...

Tropikalna noc

Noc przychodzi tu w sposób nagły i zaskakujący. Nawet mowy nie ma o tak wspaniałych w naszym kraju romantycznych zmierzchach, perłami lśniącej rosie, czy też słodkim chłodzie, który tak jak cudowny balsam przywraca rześkość po spiekocie lipcowego dnia. Ledwie rozżarzone słońce schowa się za widnokrąg, a już czerni nocy spowija wszystko w swój duszny, czarny welon. Żadnej ulgi ani odrobiny chłodu, wszystko dyszy męczącym ogniem tropiku, a każdy, nawet najmniejszy ruch wywołuje kolejną strugę potu. Leje się on

i ciecie jak woda z zepsutego kranu i aż dziw bierze, gdzie u licha kryją się w ludzkim ciele te potodajne źródła? Wprawdzie bez przerwy żłopie się przeróżne doskonałe płyny, ale część z nich musi zostać jednak w naszym nędznym ciele, aby można było zachować biologiczną równowagę.

Gdy zapada ciemność, kopuła nieba rozbłyskuje tysiącem gwiazd, a księżyc – szelma – wprawia nas w niebywałe zdumienie. Proszę sobie wyobrazić, ten odwieczny kompan zakochanych i złodziei wypiął łuk swego rogała zupełnie w odwrotnym kierunku. Przypatrząc się uważnie jego opromienionym martwym blaskiem kształtom, można dostrzec jak uśmiecha się do nas szelmowsko i mruży swoje księżycowe oko. Na dłuższe medytacje nad księżycem i wspaniałą gamą gwiazdnych światła nie pozwalają potężne eskadry atakujących wściekle komarów, przeróżnych owadów, chrząszczy i innych latających kamikadze, których szczególnie wiele pojawia się w okresie nadchodzącej pory deszczu. Trzeba się więc szybko kryć w naszych trajlerach i willach, które nie tylko chronią przed atakami latających natrętów, ale przede wszystkim dzięki erkondysjonerom dają wymarzony chłód. Cienutkie ściany nie mogą zagłuszyć jednak potężnego koncertu nocnych ptaków, płazów, gadów, przeróżnych owadów i lichy samo wie, jakich jeszcze nocnych śpiewaków. Rywalizują oni zawzięcie ze sobą, tworząc potężny chór egzotycznej nocy. Nie jestem w stanie opisać tej wspaniałej kakofonii głosów znanej nam tylko z kolorowych, egzotycznych filmów i wspaniałych opisów kreślonych ręką nie tylko mistrzów pióra, lecz przede wszystkim subtelnymi znawców muzycznych dźwięków i najbardziej oryginalnych melodii, tak wspaniałych, jakie tylko może skomponować przyroda.

Słucham tej pieśni, czuję ją, czuję w jakiś dziwny, nietypowy sposób... Poddaję się jej... Jak wspaniale oszałamia, oszałamia jak haszysz, zniewala... Usypia... Co za wspaniała melodia tropikalnej nocy...

Kamikadze – Boski Wiatr

Zawsze intrygowali mnie ludzie, którzy świadomie, ba, nawet z zapalem, bez zmrużenia oka szli na śmierć za cesarza, którego ogromna większość nigdy nawet nie oglądała.

Kamikadze to krzyk rozpacz. Kamikadze to „Boski Wiatr”. Kamikadze to samobójcze jednostki lotnicze Japonii. Kamikadze to groza i śmierć, to podziw, bohaterstwo, to fanatyzm, a może szaleństwo? Każda ocena będzie fałszywa i błędna jeżeli ktoś chce dokonać jej bez znajomości japońskich poglądów na życie i śmierć oraz okoliczności, w których zrodziły się jednostki złożone z ludzi zdecydowanych na wszystko, ludzi, których czoła nie okalał laur, lecz biała opaska z czerwonym słońcem – znak oddania najwyższej sprawie, oddania śmierci...

Tak się złożyło, że podczas pobytu na Dalekim Wschodzie miałem okazję poznać jednego z tej „legii straceńców” – autentycznego kamikadze, który, oczekując na swój ostatni lot i śmierć za cesarza, szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalał, jedynie dzięki temu, że w sposób nagły Japonia musiała skapitulować i zaprzestać działań wojennych. Dziś ten człowiek jest pułkownikiem armii japońskiej, nazywa się Kuroda i pełni służbę dyplomatyczną w Sajgonie.

Chociaż od tamtych dni minęło już prawie 30 lat, płk Kuroda ciągle tkwi swoją mentalnością w owych okrutnych czasach i sprawia wrażenie, że ciągle przeżywa gorycz tego,

że nie mógł się spełnić los, o którym nieodwołalnie i w strasznym napięciu zdecydował już wówczas, gdy płonęła jego ojczyzna, gdy powołaniem każdego samuraja była śmierć za cesarza...

Kilka razy rozmawiałem z płk. Kurodą. Słyszał on o bohaterstwie polskiego żołnierza i być może dlatego uznał, że jako Polak, jako żołnierz, potrafię zrozumieć istotę tego, co było promotorem szaleńczych i zarazem pięknych w swojej intencji czynów, bohaterstwa i niepowtarzalnego oddania sprawie ojczyzny. Słuchając jego zwierzeń, wydawało mi się, że rozumiem ten wielki ogień, który do dziś nie wygasł w jego krwi i sercu... Później pytałem sam siebie, czy podziwiać setki młodych, stojących u progu życia kamikadze, podobnie jak podziwialiśmy mężów poległych w Termopilach, czy też wzruszyć ramionami i uchylić się od oceny tego, co tak dalece i zdecydowanie silniejsze od młodego życia... Przyznam, że ciągle byłem i jestem bliższy uczuciu podziwu... wielkiego podziwu...

Z opowiadań płk. Kurody dowiedziałem się, że japoński pogląd na życie i śmierć różni się zasadniczo od europejskiego i kształtował się on w specyficzny sposób na przestrzeni kilku wieków. Pierwotne wierzenia religijne polegające na czczeniu zjawisk natury i duchów osób zmarłych przerodziły się z czasem w tak zwany sintoizm. Cieszył się on specjalną opieką państwa japońskiego aż do końca ostatniej wojny, a może nawet i do dziś, jak mi się wydaje, co wyczułem ze słów mojego rozmówcy.

Sintoizm, wierzenie nader charakterystyczne dla Japończyków, polega na otaczaniu czcią boską zarówno zmarłych przodków i bohaterów narodowych, jak też cesarza. Japoński kodeks – jak wyjaśnił pułkownik – kodeks Busido, prawdziwa ewangelia samurajów – wyraźnie mówił, iż tylko ten żołnierz, który da dowód bezgranicznego męstwa i poświęcenia, który odda życie w ofierze, zająć może właściwe miejsce w panteonie narodowej czci, w najdosłowniejszym gronie poległych bohaterów. Tę głęboką wiarę, wpajaną od najmłodszych lat wszystkim młodym Japończykom, wykorzystali dowódcy.

Japończycy, gdy ich ojczyźnie groziła klęska, a szala gigantycznych zmaganiań w II wojnie światowej wyraźnie przechyliła się na korzyść koalicji antyhitlerowskiej, a więc przeciwko również beznadziejnie walczącej Japonii, tracili z miesiąca na miesiąc stan posiadania na Pacyfiku, aż wreszcie nadszedł rok 1944. W październiku potężny desant amerykański gen. MacArthura rozpoczął walkę o archipelag filipiński. Było to więc uderzenie w tzw. wewnętrzny pierścień obrony Japonii. Toteż dowódca floty Nipponu, adm. Tojodo, zdecydował się na generalny atak na siły morskie przeciwnika. Zakończył on się kompletną klęską Japończyków, ale właśnie wtedy, w tej historycznej bitwie, po raz pierwszy do akcji weszli kamikadze, którzy mieli przechylić szalę zwycięstwa na stronę Tokio. Mimo iż w samobójczych atakach zginęło ponad 5 tys. pilotów, kamikadze nie zdołali odwrócić przesądzonych już losów wojny.

W początkach kwietnia 1945 roku – o czym mówił mi, będąc w dziwnej ekstazie, płk Kuroda – rozpoczął się szturm na Okinawę w archipelagu Riukiu. Wyspa Okinawa leży u progu macierzystych wysp Japonii, na południe od Kiusu. Jej posiadanie ostatecznie decydowało o klęsce lub kontynuowaniu beznadziejnych już wówczas zmaganiań. Posiadanie na Okinawie przez Amerykanów baz lotniczych oznaczało bezustanne bombardowanie Japonii oraz całkowite odcięcie jej od Azji.

W ciągu 82 dni zmagania o Okinawę przeprowadzono 896 uderzeń kamikadze. Mimo niezwykle wysiłków japońskich, o czym mówił z gorączką w oczach płk Kuroda, Okinawa padła, a droga do licznych wysp macierzystych i do cesarskiego pałacu w Tokio stała się otworem. Rozpoczęło to moralną śmierć czekających na śmierć fizyczną kamikadze, dla których zaczynało już brakować samolotów.

Nazwa kamikadze wywodzi się ze starej legendy. Przed prawie 700 laty kraina Wschodzącego Słońca stała się wobec groźby zagłady ze strony potężnej armii Kublaj-chana, wielkiego wodza Mongołów i wnuka osławionego Dżyngis-chana. W roku 1274 od brzegów koreańskich odbiło ponad tysiąc okrętów ze 150 tys. wojowników mongolskich, którzy zaatakowali wyspy Nipponu. Japończycy bronili bardzo dzielnie ojczyzny i zmusili napastników do powrotu na ich okręty. Następnego dnia zerwała się potężna burza, w której wyniku zatoniło wiele z mongolskich okrętów. Kublaj-chan nie zrezygnował jednak z podboju i jego flota zagroziła Japonii z dwóch stron: od zachodniego Kiusiu i od zatoki Hakata. Rozpacзлиwa obrona Japończyków trwała pięćdziesiąt dni i zakończyłaby się niechybną klęską, gdyby na pomoc wyspiarzom nie przysłała znowu przyroda. Potężny tajfun zagnał flotę najeźdźców do cieśniny naszpikowanej niebezpiecznymi rafami. Kublaj-chan stracił połowę floty i musiał się wycofać. Japończycy z wdzięczności nazwali ten tajfun „Kamikadze – Boski Wiatr”.

Niespełna 700 lat później, gdy kraj cesarza Hirohito znalazł się ponownie w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, Rada Imperium odwołała się do Boskiego Wiatru, a tysiące Japończyków zgłosiło wolę śmierci w obronie ojczyzny.

Z jednym z nich zetknął mnie los. Długo z nim rozmawiałem i starałem się zrozumieć jego nie gasnącą gorycz i płomień niespełnionej śmierci, który do dziś goreje w jego czarnych oczach – oczach kamikadze.